



# KEN FOLLETT

LOT ÓMY



Korytarzem szpitala szedł mężczyzna z drewnianą nogą.

Był niski, pełen wigoru i atletycznie zbudowany; miał na sobie gładki, ciemnoszary garnitur i buty z okuciami na czubkach. Szedł rażno, ale lekka nieregularność kroku – stuk-puk, stuk-puk – wskazywała, że jest kulawy. Twarz zastygła mu w posepnym wyrazie, jak gdyby tłumił w sobie silną emocję.

Doszedł do końca korytarza i stanął przed biurkiem pielęgniarki.

– Porucznik Hoare? – spytał.

Siostra podniosła głowę znad spisu pacjentów. Była to ładna, czarnowłosa dziewczyna; mówiła z miękkim akcentem hrabstwa Cork.

– Pan zapewne jest krewnym? – zapytała z miłym uśmiechem.

Jej urok nie zrobił na mężczyźnie żadnego wrażenia.

– Bratem – odparł. – Które łóżko?

– Ostatnie po lewej stronie.

Obrócił się na pięcie i ruszył do końca oddziału. Na krześle koło łóżka, tyłem do sali, siedział mężczyzna w brązowym szlafroku. Palił papierosa i wyglądał przez okno.

Przybysz zawahał się.

– Bart?

Pacjent siedzący na krześle wstał i odwrócił się. Na głowie miał bandaż, lewa ręka wisiała na temblaku, lecz mimo to się uśmiechał. Wyglądał prawie tak samo jak przybysz, ale był młodszy i wyższy.

– Cześć.

Digby objął brata i mocno uściskał.

– Myślałem, że nie żyjesz – powiedział.

A potem się rozplakał.

– Leciałem whitleyem – zaczął Bart. Armstrong Whitworth Whitley był niezgrabnym bombowcem z długim ogonem, latającym w dziwacznej pozycji z opuszczonym dziobem. Wiosną 1941 roku Dowództwo Sił Bombowych miało ich sto na mniej więcej siedemset maszyn. – Ostrzelał nas messerschmitt, dostaliśmy kilkanaście razy. Musiało mu się kończyć paliwo, bo odleciał i nas nie wykończył. Pomyślałem, że to mój szczęśliwy dzień. A potem zaczęliśmy tracić wysokość. Messerschmitt musiał nam uszkodzić oba silniki. Wyrzuciliśmy wszystko, co nie było przykręcone, by zmniejszyć masę, ale na próżno, i uświadomiłem sobie, że będziemy musieli wodować na Morzu Północnym.

Digby usiadł na brzegu szpitalnego łóżka; jego oczy zdążyły już wyschnąć. Patrzył na twarz brata, który przywoływał w myślach obraz tafli wody rozciągającej się trzysta metrów niżej.

– Kazałem załodze wyrzucić tylną klapę, a potem zaprzec się o ścianę kadłuba. – Digby przypomniał sobie, że załoga składała się z pięciu osób. – Kiedy osiągnęliśmy wysokość zero, pociągnąłem drążek i otworzyłem przepustnice, ale samolot nie chciał wyrównać i rąbnęliśmy w wodę ze strasznym impetem. Straciłem przytomność.

Byli przyrodnimi braćmi, dzieliło ich osiem lat. Matka Digby'ego zmarła, kiedy był trzynastolatkiem, i ojciec ożenił

się z wdową, która też miała syna. Od samego początku Digby opiekował się braciszkiem, bronił go przed łobuzami i pomagał odrabiać lekcje. Obaj uwielbiali samoloty i marzyli, żeby zostać pilotami. Digby stracił prawą nogę w wypadku motocyklowym, poszedł na studia inżynieryjne i zajął się projektowaniem samolotów. A Bart spełnił swoje marzenie.

– Kiedy się ocknąłem, poczułem dym. Samolot unosił się na wodzie, a prawa burta płonęła. Było ciemno jak w grobie, ale widziałem w świetle płomieni. Przeczółgałem się wzdłuż kadłuba i znalazłem pakunek z pontonem. Wyrzuciłem go przez luk i skoczyłem. Jezu, ale ta woda była zimna.

Bart mówił cicho i spokojnie, lecz zaciągał się głęboko i wypuszczał dym przez zaciśnięte usta.

– Miałem na sobie kamizelkę ratunkową i wyskoczyłem na powierzchnię jak korek. Fala była dość mocna, więc latałem w górę i w dół jak majtki dziwki, ale nie mogłem się dostać do pontonu. Na szczęście paczka była tuż przed moim nosem. Pociągnąłem za sznurek i ponton się napompował. Nie miałem jednak siły, żeby wciągnąć się do środka. Nie mogłem tego zrozumieć – nie wiedziałem, że mam zwichnięte ramię, złamany nadgarstek i trzy pęknięte żebra, więc tylko unosiłem się na wodzie, marznąc na kość.

Digby przypomniał sobie, że kiedyś uważał Barta za szczęściarza.

– W końcu pokazali się Jones i Croft. Trzymali się ogona samolotu, aż poszedł na dno. Żaden nie umiał pływać, ale uratowały ich kamizelki. Wleźli jakoś do pontonu i mnie wciągnęli. – Bart zapalił następnego papierosa. – Pickeringa nigdzie nie widziałem. Nie wiem, co się z nim stało, ale myślę, że leży na dnie morza.

Zamilkł. Digby uświadomił sobie, że brat nie powiedział nic o ostatnim członku załogi.

– A co z piątym? – spytał po chwili.

– John Rowley, celowniczy, żył. Słyszeliśmy, jak nas woła. Ja byłem trochę otępały, ale Jones i Croft próbowali wiosłować

w stronę głosu. – Pokręcił bezradnie głową. – Nie wyobrażasz sobie, jakie to było trudne. Fala miała metr albo i więcej, płomienie dogasały, więc niewiele widzieliśmy, wiatr wył jak upiór. Jones krzyczał, a głos ma mocny. Rowley odpowiadała, ponton wspinał się z jednej strony fali, a potem spadał na drugą, obracając się jednocześnie, a kiedy Jones ponownie zawołał, odpowiedź dochodziła jakby z całkiem innego kierunku. Nie wiem, jak długo to trwało. Rowley krzyczał dalej, ale coraz słabszym głosem z powodu zimna. – Twarz Barta stężała. – Zaczął nawoływać żałośnie Boga, matkę i tak dalej. W końcu zamilkł.

Digby zauważył, że brat wstrzymuje oddech, jak gdyby odgłos wciągania i wypuszczania powietrza mógł zakłócić to straszne wspomnienie.

– Tuż po świcie znalazł nas niszczyciel tropiący okręty podwodne. Zrzucili łódź i wciągnęli nas na pokład. – Bart spojrział przez okno, nie widząc zielonego krajobrazu hrabstwa Hertford, lecz całkiem inną scenerię, w zupełnie innym miejscu. – Cholerni z nas szczęściarze.

Siedzieli chwilę w milczeniu, wreszcie Bart spytał:

– Czy nalot zakończył się sukcesem? Nikt mi nie chce powiedzieć, ilu wróciło.

– Bo i lepiej nie mówić – odparł Digby.

– A moja eskadra?

– Sierżant Jenkins i jego załoga wrócili bezpiecznie. – Digby wyciągnął z kieszeni skrawek papieru. – Podobnie jak pilot Arasaratnam. Skąd on jest?

– Z Cejlonu.

– Samolot sierżanta Rileya dostał, ale doleciał do bazy.

– Irlandczycy to szczęściarze – zauważył Bart. – A co z resztą?

Digby tylko pokręcił głową.

– W tym locie wzięło udział sześć maszyn z mojej eskadry!

– zaprotestował Bart.

– Wiem. Jeszcze dwie zostały zestrzelone, tak jak wy. Wygląda na to, że nikt nie przeżył.

– Creighton-Smith nie żyje. I Billy Shaw. I... o Boże. – Odwrócił głowę.

– Przykro mi.

Rozpacz Barta zmieniła się w gniew.

– To nie wystarczy – powiedział. – Wysyłają nas na śmierć.

– Wiem.

– Na miłość boską, Digby, ty też jesteś w tym cholernym rządzie.

– Tak, pracuję dla premiera. – Churchill lubił ściągać do rządu pracowników prywatnych firm; Digby, przed wojną uznany projektant lotniczy, został przez niego zaprzęgnięty do wyszukiwania słabych punktów sił lotniczych i łatania dziur.

– Więc to jest między innymi twoja wina. Nie powinieneś tracić czasu na odwiedzanie chorych. Wynoś się stąd i zrób coś.

– Właśnie robię – odparł z niezachwianym spokojem Digby.

– Dostałem zadanie sprawdzenia, dlaczego dzieje się tak, jak się dzieje. W tym nalocie straciliśmy pięćdziesiąt procent maszyn.

– Podejrzewam cholerną zdradę na samych szczytach władzy. A może jakiś marszałek lotnictwa koniecznie musiał się pochwalić w swoim ulubionym klubie, że jutro jest nalot, a barman faszysta siedział za beczką piwa i wszystko zapisywał.

– To jedna z możliwości.

Bart westchnął.

– Przepraszam, Diggers – rzekł, posługując się dziecięcym przydomkiem brata. – To nie twoja wina, po prostu mi odbija.

– Masz jakąś teorię, dlaczego tak wiele maszyn zostaje zestrzelonych? Wziąłeś udział w kilkunastu misjach bojowych. Co ci podpowiada intuicja?

Bart zamyślił się.

– Nie żartowałem, mówiąc o szpiegach. Kiedy dolatujemy do Niemiec, oni już na nas czekają. Wiedzą, że się zbliżamy.

– Jak to?

– Ich myśliwce są w powietrzu. Wiesz, jak trudno jest siłom obronnym zgrać to w czasie z taką dokładnością. Eskadrę myśliwców trzeba poderwać w odpowiednim momencie i naprowadzić z lotniska w rejon, gdzie się nas spodziewają; myśliwce muszą wejść na wyższy pułap niż my, a potem znaleźć nas jeszcze w świetle księżyca. Wszystko to zajmuje tyle czasu, że powinniśmy zdążyć zrzucić ładunek i prysnąć, zanim nas dopadną. Tymczasem dzieje się inaczej.

Digby skinął głową. Spostrzeżenia Barta pokrywały się z doświadczeniami innych pilotów, których Digby pytał wcześniej. Właśnie miał to powiedzieć, kiedy Bart podniósł głowę i uśmiechnął się, spoglądając ponad ramieniem brata. Digby odwrócił się i zobaczył Murzyna w mundurze dowódcy eskadry. Podobnie jak Bart, był młody jak na swój stopień i Digby odgadł, że dostał automatyczny awans za wykonane loty – porucznika po dwunastu misjach, dowódcy eskadry po piętnastu.

– Cześć, Charles – powiedział Bart.

– Wszyscy się o ciebie martwimy, Bartlett. Jak się miewasz?

– Na karaibski akcent przybysza nakładało się zaciąganie charakterystyczne dla Oksfordu i Cambridge.

– Mówią, że może przeżyję.

Charles dotknął końcem palca dłoni Barta w miejscu, w którym wynurzała się z temblaka. Dziwnie czuły gest, pomyślał Digby.

– Miło mi to słyszeć – rzekł Charles.

– Poznaj mojego brata. Digby, to jest Charles Ford. Studiowaliśmy razem w Trinity, a potem odeszliśmy, żeby wstąpić do lotnictwa.

– Tylko w ten sposób dało się uniknąć egzaminów – dodał Charles, podając rękę Digby'emu.

– Jak cię traktują Afrykanie? – spytał Bart.

Charles się uśmiechnął.

– Na naszym lotnisku jest eskadra Rodezyjczyków –

wyjaśnił. – Pierwszorzędni lotnicy, ale trudno im obcować z oficerem o moim kolorze skóry. Nazywamy ich Afrykańczykami, co chyba ich nieco irytuje. Nie mogę zrozumieć dlaczego.

– Oczywiście, nie załamujesz się tym – powiedział Digby.

– Ufam, że cierpliwością i wyrozumiałością uda nam się w końcu ucywilizować tych ludzi, mimo że teraz wydają się tacy prymitywni. – Charles odwrócił głowę; za żartobliwą uwagą Digby dostrzegł cień gniewu.

– Właśnie pytałem Barta, czemu jego zdaniem tracimy tak dużo bombowców. A co ty o tym sądzisz?

– Nie brałem udziału w tym locie – odparł Charles. – Wygląda na to, że miałem szczęście. Inne przeprowadzone ostatnio misje też nie kończyły się dobrze. Mam wrażenie, że Luftwaffe śledzi nas przez chmury. Czy mogą mieć na pokładach aparaturę, która pozwala im nas zlokalizować nawet wtedy, gdy jesteśmy niewidoczni?

Digby pokręcił głową.

– Badamy skrupulatnie każdą rozbitą maszynę i nie znaleźliśmy niczego takiego. Pracujemy ciężko nad takim urządzeniem i jestem pewien, że wróg również, ale daleko nam jeszcze do sukcesu. Prawie na pewno można powiedzieć, że Niemcy są w tyle. Myślę, że to nie jest to.

– Cóż, takie odniosłem wrażenie.

– Nadal uważam, że to robota szpiegów – powiedział Bart.

– Ciekawe. – Digby wstał. – Muszę wracać do Whitehalu. Dzięki za wasze opinie. Dobrze jest pogadać z tymi, którzy są naszym ostrzem. To pomaga. – Podał dłoń Charlesowi i uściśnił zdrową rękę Barta. – Siedź spokojnie i zdrowiej.

– Podobno za kilka tygodni znów będę latał.

– Nie powiem, żebym się z tego cieszył.

– Mogę cię o coś spytać? – Charles odezwał się, gdy Digby odwrócił się do drzwi.

– Jasne.

– Po takim nalocie koszt zastąpienia straconych maszyn



nowymi musi być dla nas większy niż koszt naprawienia przez nieprzyjaciela szkód wyrządzonych przez nasze bomby.

– Bez wątpienia.

– A więc... – Charles rozłożył ręce w geście bezradności – po co to robimy? Jaki jest sens tych bombardowań?

– No właśnie – dodał Bart. – Też chciałbym to wiedzieć.

– A co innego możemy zrobić? – odparł Digby. – Naziści kontrolują Europę: Austrię, Czechosłowację, Holandię, Belgię, Francję, Danię, Norwegię. Włochy są ich sojusznikiem, Hiszpania z nimi sympatyzuje, Szwecja jest neutralna, a do tego mają pakt ze Związkiem Radzieckim. A my nie posiadamy na kontynencie żadnych sił zbrojnych. Nie ma innego sposobu, żeby z nimi walczyć.

Charles skinął głową.

– Więc nie macie nikogo prócz nas.

– Otóż to – potwierdził Digby. – Jeśli przestaniemy bombardować, wojna się skończy i Hitler wygra.

Premier oglądał *Sokoła maltańskiego*. W dawnych pomieszczeniach kuchni Gmachu Admiralicji jakiś czas temu zbudowano prywatne kino. Znajdowało się tam pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt pluszowych foteli i kurtyna z czerwonego aksamitu. Wyświetlano przeważnie filmy z bombardowań oraz propagandowe, przed pokazaniem ich publiczności.

Późnym wieczorem, gdy wszystkie notatki służbowe były już podyktowane, depesze wysłane, raporty i sprawozdania parafowane, a Churchill był zbyt przygnębiony, zły i spięty, żeby usnąć, siadał w jednym z ogromnych foteli dla VIP-ów w pierwszym rzędzie ze szklaneczką brandy i poddawał się magii najnowszego obrazu z Hollywood.

Digby wszedł akurat w momencie, kiedy Humphrey Bogart tłumaczył Mary Astor, że jeśli partner zostaje zabity, detektyw musi coś z tym zrobić. W powietrzu wisiał gęsty dym z cygara. Churchill wskazał Digby'emu miejsce. Ten usiadł i obejrzał

ostatnie kadry filmu. Gdy ukazały się napisy końcowe, powiedział szefowi, że wiele wskazuje na to, iż Luftwaffe wie z wyprzedzeniem o brytyjskich nalotach bombowych.

Churchill przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ekran, jak gdyby chciał poznać nazwiska wszystkich aktorów. Czasami bywał czarujący, przyjemnie się uśmiechał i miał błysk w niebieskich oczach, lecz tego wieczoru wydawał się ponury.

– Co mówią w RAF-ie? – spytał wreszcie.

– Twierdzą, że samoloty źle lecą w formacji. Teoretycznie, jeśli lecą blisko siebie, ich uzbrojenie powinno objąć zasięgiem całe niebo, więc każdy nieprzyjacielski myśliwiec, który się pokaże, powinien zostać natychmiast zestrzelony.

– I co ty na to?

– Bzdura. Latanie w formacji nigdy nie zdało egzaminu. W równaniu pojawił się jakiś nowy czynnik.

– Zgadzam się. Ale jaki?

– Mój brat uważa, że to szpieg.

– Wszyscy szpiegzy, których złapaliśmy, byli amatorami... ale właśnie dlatego dali się złapać. Możliwe, że ci wyszkoleni prześliznęli się przez sieć.

– A może Niemcy dokonali technicznego przełomu?

– Wywiad twierdzi, że w pracach nad radarem nieprzyjaciół jest daleko za nami.

– Ufa pan ich osądowi?

– Nie. – Lampy na suficie zapaliły się. Churchill miał na sobie wieczorowe ubranie. Zawsze wyglądał elegancko. Głębokie zmarszczki na twarzy świadczyły o przemęczeniu. Wyjął z kieszonki kamizelki zwinięty skrawek cienkiego papieru. – Oto trop – rzekł, wręczając kartkę Digby'emu.

Był to rozszyfrowany zapis sygnału radiowego Luftwaffe po niemiecku i angielsku, zawierający stwierdzenie, że nowa strategia nocnej walki Luftwaffe – *Dunkle Nachtjagd* – przyniosła wielki sukces dzięki doskonałym informacjom od Frei. Digby przeczytał wiadomość najpierw po angielsku, a potem po niemiecku. „Freya” – nie było takiego słowa w

żadnym z tych języków.

– Co to znaczy? – spytał.

– Właśnie tego masz się dowiedzieć. – Churchill wstał i zarzucił na siebie marynarkę. – Odprowadź mnie. – Wychodząc, zawołał: – Dziękuję!

– Cała przyjemność po mojej stronie, panie premierze – odpowiedział głos z budki operatora.

Gdy szli korytarzem budynku, podążało za nimi dwóch ludzi: inspektor Thompson ze Scotland Yardu i osobisty ochroniarz Churchilla. Wyszli na plac defilad, minęli kwatery zespołu obsługi balonów zaporowych i bramą w parkanie z drutem kolczastym dotarli do ulicy. Londyn był zaciemniony, lecz cienki sierp księżyca wystarczająco oświetlał drogę.

Szli kilka metrów ramieniem przy ramieniu do Storeys Gate numer 1. Bomba zniszczyła dom przy Downing Street 10, więc Churchill mieszkał w pobliskiej przybudówce nad siedzibą Gabinetu Wojennego. Wejście osłaniał mur odporny na wybuchy. Z otworu w ścianie wystawała lufa karabinu maszynowego.

– Dobranoc, panie premierze – powiedział Digby.

– Tak dalej być nie może – odrzekł Churchill. – Przy takich stratach nasze lotnictwo bombowe przestanie istnieć do Bożego Narodzenia. Muszę wiedzieć, kim lub czym jest Freya.

– Dowiem się tego.

– Zrób to jak najprędzej.

– Tak jest.

– Dobranoc – powiedział premier i wszedł do budynku.

Ostatniego dnia maja 1941 roku na ulicach Morlunde, miasta na zachodnim wybrzeżu Danii, pojawił się osobliwy pojazd.

Był to motocykl duńskiej produkcji, Nimbus, z boczną przyczepą. Stanowiło to ciekawostkę samo w sobie, gdyż nie było paliwa dla nikogo z wyjątkiem lekarzy i policji oraz – rzecz jasna – niemieckich wojsk okupujących kraj. Ten nimbus został zmodyfikowany. Czterocyldrowy silnik benzynowy zastąpiono parowym, wziętym z wyrzuconej na złom rzecznej motorówki. Z przyczepy usunięto siedzenie, żeby zrobić miejsce na kocioł, palenisko i komin. Silnik miał małą moc, więc motocykl mógł osiągać maksymalną prędkość trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zamiast zwykłego warkotu z rury wydechowej słychać było tylko syk pary. Dziwnie cicha praca i powolność jazdy przydawały pojazdowi statecznej powagi.

Siodełko zajmował Harald Olufsen, rosły osiemnastolatek z jasną cerą i blond włosami zaczesanymi do tyłu z wysokiego czoła. Wyglądał jak wiking. Oszczędzał przez cały rok na nimbusa, który kosztował sześćset koron, a kiedy go już kupił,

nazajutrz Niemcy wprowadzili ograniczenia w dostępie do paliwa.

Harald był wściekły, lecz wychowano go tak, że wolał działać, niż narzekać.

Przez następny rok modyfikował motocykl, pracując w dni wolne od nauki i jednocześnie przygotowując się do egzaminów wstępnych na uniwersytet. Dzisiaj przyjechał z internatu do domu na Zielone Świątki; rano rozwiązywał równania fizyczne, a po południu dopasowywał do tylnego koła zębatkę z zardzewiałej kosiarki do trawy. Teraz motocykl pracował doskonale i Harald jechał do baru, w którym miał nadzieję posłuchać jazzu, a może też spotkać jakieś dziewczyny.

Uwielbiał jazz. Po fizyce była to najciekawsza rzecz, z jaką zetknął się w życiu. Amerykańscy muzycy byli najlepsi, oczywiście, ale nawet ich duńskich naśladowców przyjemnie się słuchało. W Morlunde można było czasem usłyszeć dobry jazz być może dlatego, że był to międzynarodowy port odwiedzany przez marynarzy z całego świata.

Kiedy Harald zajechał przed klub Hot, w samym sercu dzielnicy portowej, ujrzał zamknięte drzwi i okiennice.

Zdziwił się. Była sobota, ósma wieczorem, a to był jeden z najpopularniejszych lokali w mieście. Powinien kołysać się cały w rytm muzyki.

Gdy tak siedział, spoglądając na pogrążony w ciszy budynek, zatrzymał się koło niego jakiś przechodzień i popatrzył na motocykl.

– Co to za machina?

– Nimbus z silnikiem parowym. Wiesz, dlaczego klub jest zamknięty?

– Na jakim paliwie jeździ ten motor?

– Na wszystkim, co się pali. Ja używam tego. – Harald wskazał stos torfu w przyczepie.

– Torf? – Nieznajomy się roześmiał.

– Czemu drzwi są zamknięte?

– Faszyści zamknęli mi klub. Jestem jego właścicielem.

- Dlaczego? – oburzył się Harald.
- Zatrudniałem czarnych muzyków.

Harald nigdy nie widział czarnoskórego jazzmana, lecz z nagrań wiedział, że są najlepsi.

– Faszyści to świnie i ignoranci – warknął ze złością. Zepsuli mu wieczór.

Właściciel klubu spojrział w jedną i drugą stronę, by się upewnić, że nikt tego nie słyszał. Okupanci rządili Danią lekką ręką, lecz mimo to niewielu ludzi odważyło się otwarcie im złorzeczyć. Nikogo nie było widać. Skierował spojrzenie z powrotem na motor.

- Jest na chodzie?
- Pewnie, że tak.
- Kto go przerobił?
- Ja sam – odparł Harald.

Rozbawienie mężczyzny zmieniło się w podziw.

– Nieźle, nieźle.  
– Dzięki. – Harald otworzył kurek odcinający dopływ pary do silnika. – Przykro mi z powodu klubu.

– Mam nadzieję, że pozwolą mi go otworzyć za kilka tygodni. Będę musiał obiecać, że przyjmę białych muzyków.

– Jazz bez Murzynów? – Harald pokręcił z oburzeniem głową. – To tak, jakby zakazać francuskim kucharzom wstępu do restauracji. – Zdjął nogę z hamulca i motor ruszył powoli.

Chciał jechać do centrum, żeby zobaczyć, czy w kawiarniach i barach przy głównym placu miasta znajdzie kogoś znajomego, lecz widok zamkniętego klubu dotkliwie go rozczarował – uznał, że chodzenie po lokalach tylko go przygnębi. Ruszył w stronę przystani.

Ojciec Haraldą był pastorem w kościele na Sande, małej wysepce znajdującej się kilka kilometrów od wybrzeża. Niewielki prom pływający na wyspę i z powrotem stał akurat na przystani, więc Harald wjechał na pokład. Było pełno ludzi; większość z nich znał. Grupa rozbawionych rybaków, którzy obejrzeli mecz piłkarski, a potem wstąpili do baru na drinka,

zachowywała się hałaśliwie; dwie zamożne kobiety w kapeluszach i rękawiczkach miały torby wypełnione sprawunkami; pięcioosobowa rodzina najprawdopodobniej wracała od krewnych w mieście. Nieznani Haraldowi mężczyzna i kobieta, dobrze ubrani, wybierali się pewnie na kolację do hotelu na wyspie, słynącego z wyśmienitej restauracji. Motor zwrócił uwagę wszystkich, więc Harald znów musiał tłumaczyć zasadę działania silnika.

W ostatniej chwili na prom wtoczył się ford typu sedan, niemieckiej produkcji. Harald znał ten wóz – należał do Axela Flemminga, właściciela hotelu na wyspie. Flemmingowie odnosili się wrogo do rodziny Haralda. Axel uważał się za naturalnego lidera społeczności wyspy, a pastor Olufsen był przekonany, że ta pozycja jemu się należy; niesnaski między dwoma rywalizującymi patriarchami przeniosły się na pozostałych członków rodzin. Harald zdziwił się, że Flemming zdobył paliwo do samochodu. Dla bogatych nie ma pewnie rzeczy niemożliwych.

Morze było lekko wzburzone, od zachodu zbierały się ciemne chmury. Nadchodziła burza, lecz rybacy stwierdzili, że prom zdąży dopłynąć do wyspy. Harald wyjął gazetę, którą dostał w mieście. Nosiła tytuł „Reality”; wydawano ją nielegalnie, wbrew okupantowi, i rozdawano za darmo. Duńska policja nie próbowała tego ukrócić, a Niemcy lekceważyli pisemko. W Kopenhadze ludzie czytali je, nie kryjąc się, w pociągach i tramwajach. Wyspiarze byli bardziej ostrożni, więc Harald zwinął gazetę, tak żeby nie było widać winiety. Czytał krótki artykuł o braku masła. Dania produkowała miliony ton masła rocznie, które jednak prawie w całości trafiało teraz do Niemiec, i Duńczycy nie mogli go zdobyć. Takie doniesienia nigdy nie pojawiały się w oficjalnej, cenzurowanej prasie.

Znajomy, płaski kształt wyspy był coraz bliżej. Miała dziewiętnaście kilometrów długości i tysiąc sześćset metrów szerokości; na obu końcach leżały wioski. Większa, na

południowym krańcu, składała się z rybackich domków, kościoła i plebanii. Była tam też szkoła morska, dawno porzucona, którą przejęli Niemcy i zamienili w bazę wojskową. Hotel i większe domostwa stały w północnej części wysepki. Między wioskami były tylko piaszczyste wydmy i zarośla z kilkoma drzewami, lecz od strony morza rozciągała się wspaniała, piętnastokilometrowa plaża.

Gdy prom zbliżał się do przystani na północnym końcu wyspy, Harald poczuł na skórze pierwsze krople deszczu. Na elegancką parę czekał hotelowy konny powóz. Rybacy wsiedli na furmankę, którą przyjechała żona jednego z nich. Harald postanowił pojechać do domu plażą pokrytą zbitym piaskiem – przeprowadzano tam nawet próby szybkościowe samochodów wyścigowych.

Był w połowie drogi z przystani do domu, kiedy zabrakło mu pary w kotle.

Bak motoru wykorzystywał jako zbiornik na wodę i teraz zrozumiał, że jest on za mały. Będzie musiał zdobyć dwudziestopięciolitrową beczkę i zamontować ją w przyczepie. Tymczasem potrzebował wody, żeby dojechać do domu.

W zasięgu wzroku znajdował się tylko jeden i był to, niestety, dom Axela Flemminga. Mimo istniejącej rywalizacji Olufsenowie i Flemmingowie rozmawiali ze sobą; wszyscy członkowie rodziny Flemmingów przychodzili co niedziela do kościoła i siadali w pierwszej ławce. Axel był nawet diakonem. Jednak Harald nie ucieszył się na myśl, że będzie musiał prosić nie lubianych Flemmingów o pomoc. Mógł pójść kilkaset metrów dalej do następnego domu, ale uznał, że to byłoby głupie. Westchnął i skierował się na długą alejkę.

Nie zapukał do frontowych drzwi, tylko ruszył wzdłuż ściany w stronę stajni. Ucieszył się, widząc, że służący wstawia forda do garażu.

– Cześć, Gunnar – powiedział. – Dasz mi trochę wody?

– Weź sobie – odparł życzliwie mężczyzna. – Kran jest na podwórku.



Harald znalazł wiadro i napełnił je, a potem poszedł do motocykla i wlał wodę do baku. Wyglądało na to, że uniknie spotkania z Flemmingami. Kiedy wrócił, żeby odstawić wiadro na miejsce, zastał na podwórku Petera Flemminga.

Ten rosty, pełen wyniosłości trzydziestoletni mężczyzna, syn Axela, przed kłótnią między rodzinami był najlepszym przyjacielem brata Haralda, Arnego; gdy mieli po kilkanaście lat, słynęli jako zdobywcy dziewczęcych serc. Arne uwodził je łobuzerskim czarem, a Peter inteligencją. Peter mieszkał teraz w Kopenhadze; Harald domyślił się, że przyjechał do domu na święto.

Peter czytał „Reality”. Podniósł głowę i spojrzał na Haralda.

– Co tu robisz? – spytał.

– Cześć. Przyszedłem wziąć trochę wody.

– Ten szmatławiec jest twój, zdaje się?

Harald wsunął rękę do kieszeni i zmieszał się; zrozumiał, że gazeta musiała mu wypaść, kiedy schylił się po wiadro.

Peter zauważył ten gest i zrozumiał jego znaczenie.

– Pewnie, że twój – powiedział. – Zdajesz sobie sprawę, że możesz wyłudować w więzieniu za samo posiadanie czegoś takiego?

To nie były czeze pogrożki: Peter był policjantem.

– Wszyscy w mieście to czytają – odparł Harald wyzywającym tonem, mimo że trochę się przestraszył. Peter był bowiem wystarczająco złośliwy, żeby go aresztować.

– Nie jesteśmy w Kopenhadze – rzekł surowo.

Harald nie wątpił, że Peter z radością wykorzystałby szansę zhańbienia kogoś z Olufsenów. Wiedział też dlaczego.

– Wyszedłbyś na głupca, gdybyś aresztował nastolatka na Sande za coś, co połowa ludności kraju robi całkiem otwarcie. Zwłaszcza gdyby wszyscy się dowiedzieli, że masz urazę do mojego ojca.

Peter był najwyraźniej rozdarty między chęcią poniżenia Haralda a lękiem przed tym, że narazi się na śmieszność.

– Nikomu nie wolno łamać prawa – powiedział.